

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

25

— Kto ci to powiedział?! Właśnie, że się ożenił!

— Aha! i będziecie razem chodzili do „głodowej” kuchni i deklamowali może: „dla kochanki i kochanka” — zadrwiła trzydziestosześcioletnia panna.

Kazimierz zamyślił się chmurnie i ręką pocierał czoło.

— No, przecież nie musimy brać ślubu już. Mamy czas...

— To zależy...

Rodzeństwo popatrzyło sobie w oczy. Kazimierz usiadł i przestaniając ręką usta, zaczął ziewać zawnięcie.

— Przespij się — zaproponowała siostra — a potem może razem zjemy obiad.

— Jestem dzisiaj zaproszony na obiad.

— To dobrze. W takim razie zostaw klucz. Przyjdę nad wieczorem.

Wacława nie pytała, do kogo jest zaproszony, co Kazimierzowi było bardzo na rękę. Obawiałby się skłamać przed siostrą, bo gotowa od razu spenetrować, a prawdy również powiedzieć nie chciał.

Jeszcze wczoraj postanowił sobie, że nie pójdzie na obiad do Burczykiewiczów, ale teraz rozmyślił się. Jednakowoż trzeba iść.

Był bardzo senny. Powieki ciążyły mu na oczach. Wziął poduszkę z łóżka i rzucił ją na sofę.

Wacława stała przed lustrem i wkładała kapelusz. Brat patrzył na nią, a potem oczy jego pobiegły ku torebce ręcznej przewieszanej przez poręcz krzesła.

— Słuchajno, Wacko... — zaczął wahająco i urwał.

Siostra zwróciła się ku niemu. Domyślny uśmiech pojawił się na jej pięknie wykrojonych, ale przywiedłych już trochę wargach.

Pieniądzy ci potrzeba, co? Pewnie osiadłeś na mieliźnie...

— Hm... no tak... właściwie... gdybyś mogła, to...

Wacława sięgnęła po portmonetkę.

— No, ileż ci potrzeba?...

Kazimierz przespał się i kwadrans po dwunastej świeży, piękny, elegancki, opuszczał swój pokój, aby się udać na obiad do Burczykiewiczów.

Kiedy przechodził obok mieszkania pani Mili, przypomniał sobie ranną scenkę. Przystanął i zawałił się. Po chwili zapukał.

Drzwi otwarły się i przywitał go radosny pisk ładnej gosposi, na który Rawicz odpowiedział przeczonym ostrzeżeniem:

— Ale ja tylko na chwilę...

Chwilka ta przeciągnęła się jednak przeszło pół godziny i kiedy Rawicz znalazł się wreszcie na ulicy, musiał przyspieszyć kroku, aby się stawić na oznaczoną godzinę.

Nie dlatego, żeby z Burczykiewiczami ceremonizował się nadto, ale poprostu był głodny bardzo.

Przechodząc obok kwiaciarni wstąpił i kupił dla Stefy możliwie najtańszą wiązaną kwiatów. Był to wielce skromny bukiet, kilka gwoździków, trochę białych facetów o ostrej woni i gałązka jakiejś puszystej trawy.

Gdyby to jednak były róże nicejskie, fiołki prosto z Parmy sprowadzane lub najwspanialsze okazy orchidei, nie mogłyby większej wzbudzić radości niż wzbudziły.

Stefka rozpromieniona pochwyciła wiązaną obiema rękami i szepcząc:

— Dziękuję panu... bardzo, bardzo dziękuję. Taki pan dobry, że już nie wiem doprawdy... — od razu przypięła kwiaty do swojej szafirowej, aksamitnej bluzki.

— Oczy dalibóg mogą rozboleć od tych jej szafirów — pomyślał Kazimierz.

— Wie pan — mówiła dziewczyna — że obiadu niema jeszcze, bo tało zajęty jakąś bardzo ważną rozmową z jednym panem, to my sobie pójdziemy do salonu i pogadamy trochę. Prawda, jak to dobrze?

Podniosła ku niemu oczy błyszczące uciechą,

aż ładne prawie od nadmiaru ciepłych, radosnych promieni.

Kazimierz o mało co nie zaklął głośno tak mu się jeść chciało i tak mało miał ochoty do sentymentalnej pogawędki sam na sam ze Stefą. Odpowiedział jednak:

— Bardzo dobrze — poszedł za Burczykiewiczówną do salonu.

Salon Burczykiewiczów była to ogromna „landara”, urządzona z przepychem. Nie brakło tam ani wspaniałego fortepianu, na którym nikt nie grał, ani książek i albumów w kosztownych oprawkach, których nie czytano i nie oglądano, ani gobelinów, rzeźb, obrazów, na których się nikt w tym domu nie znał. Po rogach salonu ustawiono grupy palm i innych cieplarnianych roślin. Miały to być niby cieniście gaiki, ale nieumiejętnie pielęgnowane i pozbawione właściwego światła, sprawiały wrażenie ponure czegoś obumierającego.

— Jak uschną, to się kupi nowe — zadecydował Burczykiewicz, kiedy mu ktoś zwrócił uwagę, że chcą mieć takie delikatne rośliny, trzeba je odpowiednio pielęgnować.

Kazimierz usiadł na pluszowej kozetce pośród tych suchotnicznych palm, a Stęfa przysunęła bliżej ku niemu swój niski fotelik, na którym jej krępa postać wydawała się zabawnie pękała.

— Czemu pan tak dawno nie był u nas? — zapytała cicho dziewczyna.

— Dawno?... Dopiero trzy dni temu.

— Czasem trzy dni temu to bardzo dawno — westchnęła żałośnie Stęfa — a ja pana widziałam wczoraj z okna. Nawet pan nie spojrzał do góry.

Kazimierz uśmiechnął się zdawkowym uśmiechem. Dziwna rzecz, jak ta dziewczyna miała mało dla niego uroku. Nawet ta jej miłość, równie niezgrabna i naiwna, jak potężna, przejawiająca się w każdym słowie, w każdym spojrzeniu, nie rozbrajała go, nie pociągała.

Chwilami czuł dla niej politowanie, a czasem coś, jakby jakąś fizyczną odrazę do jej brzydkich rąk, czerwonej cery, grubokościstej figury i żółtawych, sztywnych włosów.

Nigdy też prawie nie starał się bawić Stęfą, wiedział, że ona nie wymaga tego, że zadowalała się samą tylko jego obecnością.

Stęfa milczała jakąś minutę może, skubiąc kwiaty przy bluzce. Chciała powiedzieć coś, co gwałtem cisnęło się jej na usta, a nie śmiała. Wstydziła się i lękała.

— W niedzielę widziałam pana z daleka — wykrztusiła wreszcie — pan szedł z jedną panną... z blondynką.

Poczerwieniały jej nawet uszy, broda i szyja. Kazimierz spojrzał na nią w ten sam sposób, jak rano na panią Milę.

— Więc coś z tego? — zapytał.

Stęfa, zaczerwieniona po korzenie włosów, przygryzała wargi, szarpała koronki bluzki i wyłamywała sobie formalnie palce w sławach.

— Bo... bo... ja słyszałam...

Piękne rysy mężczyzny przebiegło leciutkie, prawie niedostrzegalne drgnienie niepokoju.

Wziął ze stolika jakieś album i zaczął je przeglądać.

— I coś pani słyszała?

— Że... że ta panna Borowicka to pańska... narzeczona...

Ostatni wyraz wymówiła z takim zachłyśnięciem głosu, jakby jej tchu zabrakło i z krwistoczerwonej stała się nagle zupełnie błądą.

Rawicz przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Nie odrywając wzroku od kart albumu, omijał spojrzenie dziewczyny, w którym zdawała się skupiać cała jej dusza, drżąc pomiędzy trwogą i nadzieją.

— I kłóż to opowiada o mnie takie rzeczy? — wyrzekł wreszcie powoli.

Pierś Stęfi podniosła się głębokim oddechem ulgi. Krew powracała do jej policzków.

Ta wymijająca odpowiedź opadała na jej serce kroplami słodkiego, kojącego balsamu. Nie potwierdził! Nie zaprzeczył wprawdzie, ale gdyby to była prawda, to musiałby przyznać się. Dusza prostackiej córki wzbogaconego przez wyzysk rzeźnika nie była jeszcze odarta ze świeżej, naiwnej wiary dziewczęcej w świętość kochania i w szlachetność „jego”.

— Gdyby tamta kochała, gdyby był jej narzeczonym, toby powiedział... toby powiedział... — dzwoniło jej w myśli radośnie.

I cała znów w uśmiechach i rumieńcach odparła spieszenie:

— Już nie pamiętam, kto mi to mówił... Ale ja zaraz sobie pomyślałam, że to musi być nieprawda.

Kazimierz jakoś dziwnie zmarszczył brwi, pochylił głowę, ale nie zapytał dlaczego właściwie tak myślała.

Gdyby Stęfa więcej była spostrzegawczą, a mniej zakochaną, nie mogłoby to ująć jej uwadze, że on się w tej chwili wstydy czegoś, strasznie wstydy. Tak się wstydy. że aż drża mu cienkie, smukłe palce, przerzucające uparcie karty albumu i różowy obłok rozpościera się po matowej twarzy, a szafirowe oczy uciekają gwałtownie pod powieki.

Tylko że Stęfa Burczykiewicz nie była ani psychologiem ani przenikliwą obserwatorką, tylko prostą, do szaleństwa rozkochaną dziewczyną.

Uspokoiwszy swoje obawy odzyskała trochę pewności siebie.

— Mówią niektórzy, że ta panna Borowicka to bardzo ładna... Ale mnie się wydaje, że tak znowu bardzo to nie.

— Uhm... — mruknął pod nosem Rawicz i spojrzał na drzwi, jakby stamtąd oczekiwał wybawienia.

— A ubrana to już całkiem pod psem — Stęfa pogardliwie pokręciła swoim szerokim perkatym nosem.

— Proszę pani — w głosie Rawicza zabrzmiało nieukrywane rozdrażnienie — czy pani nie może znaleźć innego tematu do rozmowy, jak tylko pannę Borowicką?

Mówił gniewnie, szorstko, a w pociemniałych oczach błyskały mu jakieś niedobre płomienie.

Stęfa straciła zupełnie kontenans, tak, jak to było zawsze, kiedy wyczuwała, że Rawicz jest z niej niezadowolony. Wargi jej zatrzęsyły się bezradnie, jasne skąpe rzęsy zatrzepotały. Twarz cała nabrała takiego wyrazu przestachu, jak u dziecka, które się boi kary.

— Mój Boże! pewnie znowu coś głupiego palnęłam... — kołatało w niej serce trwożnie i gwałtownie.

A że nie rozumiała o co mu chodzi i bała się, by powtórnie nie „palnąć” głupstwa więc milczała, powracając do swej taktyki wyłamywania sobie palców w sławach.

— Coż pani robiła wczoraj? — rzucił Rawicz czując, że musi choćby w najgłupszy sposób podtrzymać rozmowę, chociaż go ona drażni i nudzi, ach! tak niesłychanie nudzi...

Stęfa uszczęśliwiona tem pytaniem, świadczącym, że Kazimierz już się nie gniewa, zaczęła opowiadać szeroko, rozwlekle, niecierkawie o nieciekawych wypadkach, wypełniających ramy jednego dnia jej życia.

Chodziła rano aż do parku, bo myślała, że pana Kazimierza spoika, ale nie spotkała. Potem upiekła sama taką struclekę z migdałową masą, co to pan Kazimierz lubi. Myślała, że przyjdzie i zje struclekę, ale nie przyszedł i nie zjadł. Później czytała tę książkę, którą jej pan Kazimierz polecił.

I tak dalej... we wszystkich myślach i czynnościach Stęfy świecił jak gwiazda przewodnia pan Kazimierz.

Dziewczyna ożywiła się i rozgadała na dobre. Mówiła i mówiła, nie zważając, że jej towarzysz nie odzywa się prawie wcale.

Rawicz słuchał z przymrużeniami oczyma, a właściwie nie słuchał zupełnie, tylko patrzył na szafirową, nastrzępioną ozdobami suknię Burczykiewiczówny, na wielkie brylanty w jej uszach, na ręce brzydkie, grube i pomimo wysilków pielęgnacji ordynarne i powtarzał sobie: „Dwa razy dwa jest tylko cztery... dwa razy dwa jest tylko cztery...”

Niekiedy spojrzenie jego niecierpliwie wybiegało w stronę drzwi, bo głód zaczynał mu coraz silniej dokuczać.

Kiedyż raz u dyabła będzie ten obiad?!

Tymczasem Stęfę to przedłużające się sam na sam rozmarzało i upajało. Oczy jej błyszczały światłem ciepłym i jasnym, usta rozchylały się uśmiechem szczęścia, nierówności i chropowatości rysów i cery zdawały się wygładzać niby pod dotknięciem jakiejś pieścizłowej, czarodziejskiej ręki.

Brzydka dziewczyna o gminnych rysach i grubych kościach rozkwitała jak kwiat nieładny, pospolity, niezgrabny, ale pełen zdrowych soków żywotnych.

Mówiła coraz śmielej, coraz szczerzej, coraz serdeczniej.

(Ciąg dalszy nastąpi).